

Kazimierz Kyrz Jr.

W NOWYM
MROKU



———— Kazimierz Kyrcz Jr ————

W NOWYM MROKU

dla•czemu

————

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

www.dlaczemu.pl

Redaktor prowadzący: Anna Nowicka-Bala
Redakcja i korekta: Napisane.online
Skład i łamanie: Anna Nachowska | PracowniaKsiazki.pl
Grafika na okładce: Czarnobyl

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

Warszawa 2025

Wydanie I

ISBN papier: 978-83-67852-57-9

ISBN e-book: 978-83-67852-58-6

Zapraszamy księgarne i biblioteki
do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami.

Dodatkowe informacje dostępne pod adresem:

✉ kontakt@dlaczemu.pl



*Myślałem, że zmienię to, czym jestem,
ochronię swoją rodzinę.
Ale nieważne, co zrobię, co wybiorę.
To we mnie tkwi błąd.*

Dexter

CZEŚĆ I

NARODZINY

*Życie jest niczym utwór muzyczny.
Wyjątkowe i niepowtarzalne, czasem harmonijne,
czasem dysonansowe, a czasem niewarte wysłuchania.*

Hannibal

Podobno ryby i dzieci głosu nie mają. Profesor Henryk Berezka też go stracił. Wkrótce, bez zbędnych ceregieli, przyznano mu rentę, co zapewne byłoby błogosławieństwem, gdyby nie kwestia nudy.

Dorośli synowie wynieśli się z domu, z żoną nie znajduwali wspólnego języka. Ich relacje ochłodziły się do tego stopnia, że pytanie „dojdę, czy nie dojdę?” w przypadku Henryka zazwyczaj dotyczyło wątpliwości, czy zdąży do toalety.

Źle sypiał, zaczął więc zażywać tabletki nasenne. Jego organizm szybko się do nich przyzwyczyił, więc Berezka, uważając faszerowanie się prochami za głupotę, zamiast zwiększyć dawkę medykamentu, powoli ją zmniejszał, by w końcu w ogóle z niego zrezygnować.

W efekcie znów obudził się o czwartej. Zaklął pod nosem. Cicho, wszak inaczej nie potrafił.

Kiedy ostatnio spałem dłużej, niż pięć godzin?, pomyślał, przecierając opuchnięte oczy. Sto lat temu.

Istnieją ciekawsze zajęcia od wiercenia się w łóżku, więc wstał i poczłapał do łazienki, by pozbyć się parcia na pęcherz.

Kilka minut później szedł już na przystanek przy moście Grunwaldzkim, by z cierpliwością ornitologa obserwować mieszkańców miasta i zwiedzających je turystów. Kiedyś w oknie hotelu naprzeciwko udało mu się nawet dostrzec cysatkę, która paradowała nago po apartamencie. Z daleka nie było za wiele widać, ale od czego wyobraźnia?

Niekiedy te ruchome trójwymiarowe obrazki działały na niego kojąco, znacznie częściej ich urok niweczyły karetki pogotowia i radiowozy na sygnale.

Tego lipcowego poranka tuż przed nosem Berezę przedelfowały dwa pomalowane na granatowo, przedpotopowe robury, a zaraz po nich majestatycznie przejechała zgraja harleyowców. Motocykle nigdy szczególnie Henryka nie kręciły. Za młodu raz kierował komarem, co przypłacił lądowaniem w krzakach i trwałą awersją do podobnych środków lokomocji. Mimo to poczuł w sercu ukłucie żalu, że goście w skórzanych kurtkach żeglują w siną dal, gdy on w stolicy smogu i betonu kisi się jak ogórek wciśnięty do słoika.

Czy w taki właśnie sposób spędzi resztę życia?

Pytanie przeszło go dreszczem. Na domiar złego komórka którejś z czekających na transport kobiet odezwała się refrenem z *What a Wonderful World*.

Westchnął ciężko i nogą powłókł się do mieszkania.

Przed klatką schodową natknął się na sąsiada wyprowadzającego psa na spacer. Kundel braki inteligencji nadrabiał wzrostem. Tego samego nie dało się powiedzieć o kurdupłowatym sąsiedzie udającym, że nie zauważa Berezę.

Rencista wzruszył ramionami, wszak nie potrzebował uwagi ze strony idioty.

Mieszkanie przywitało go ciszą. Smoczyca, pieszczotliwie nazywająca go gadzim gadem, dyrektorzyła w swojej

podstawówce od ósmej, nieważne, czy w roku szkolnym, czy podczas wakacji. Henryka dziwiła ta nadgorliwość, ale nie narzekał, bo dzięki temu zyskiwał trochę spokoju, nieskażonego trajkotaniem o bieżące, rachunkach czy liście zakupów.

Usadowił się na kanapie naprzeciwko telewizora i spojrzał na pilota. Zamiast wziąć go do ręki, wstał, przyniósł z kuchni słoik po dżemie, znów usiadł i zapalił trzeciego tego dnia papierosa. Ślubna nie pozwalała kurzyć w domu, ale uznał, że zdąży przewietrzyć pokój. Zresztą, miał serdecznie dość żoninych zakazów i nakazów. Przecież nie jest dzieckiem, do cholery!

Zgasił niedopałek, niespodziewanie dla samego siebie podrywając się na równe nogi. Nosił go, musiał coś zrobić. Coś dla siebie. Inaczej umrze, zdechnie, rozpadnie się. Tu i teraz.

Wyciągnął z szafy plecak z lekkim, zrobionym z syntetyków śpiworem, zapakował trochę ubrań, bieliznę i lekarstwa, po czym ruszył do drzwi. W przedpokoju potknął się o buty małżonki. W pierwszym odruchu chciał się schylić i schować je do szafki, jednak zrezygnował. Zbrzydła mu rola darmowego sprzątacza. Już w progu, słuchając podszepu rozsądku, cofnął się po portfel. Schował go do kieszeni kurtki, wyrwał kartkę z notesu, napisał na niej, że się wyprowadza, położył pożegnalny liścik obok wyłączonej komórki i wyszedł z domu.

Wyszedł, by nigdy nie wrócić.

Spacerując główną ulicą Proszowic, czuł się jak młokos przed randką. Żywił do tego miasteczka szczególny sentyment. Przed laty spędzał tu wakacje. Pomagał wujkowi w gospodarstwie, a w zamian dostawał kieszonkowe, które wydawał na tanie wina.

Wspominki. Dobre, złe, zagrzebane w podświadomości, gotowe wydostać się na powierzchnię pod wpływem byle impulsu.

Na widok grupki rowerzystów Henryk przypomniał sobie, że kiedyś wybrał się na wycieczkę kolarzówką, którą otrzymał w prezencie od ojca chrzestnego. Rower, przynajmniej na tamte czasy, był szczytem nowoczesności. Zamiast opon miał pasy grubej gumy, elegancko wyprofilowaną kierownicę i sporo przerzutek.

Omal wtedy nie zginął. Rozpędził się, zjeżdżając ze stromej górką i upajając się szybkością, gdy niespodziewanie doskoczył do niego jakiś chłopak, bez ostrzeżenia uderzając pięścią w twarz.

W momencie, gdy Bereza leciał na ziemię, wyrzut adrenaliny sprawił, że włączyło mu się widzenie poklatkowe. Jego głowa obrała kurs na kamień brukowy i gdyby nie zdołał zasłonić się ramieniem, zapewne nigdy nie zostałby nauczycielem.

Drugi raz Henryk otarł się o śmierć dwa miesiące później. Wszystko przez głupi zwyczaj wieszania się na umieszczonej pod sufitem tramwaju rurze i wyskakiwania z niego zaraz po otwarciu drzwi.

W ostatniej chwili coś go powstrzymało. Nie skoczył, a w następnej sekundzie ciężarówka przemknęła obok wagonu.

Kolejny tego typu przypadek zdarzył się, gdy podczas studiów poprosił kolegę o podwózkę na dyskotekę. Nie wiedzieć

czemu Henryk uważał wtedy zapinanie pasów za obciach, na szczęście posłuchał intuicji i uczynił wyjątek. Pół kilometra przed dyskoteką dachowali. Znajomy zapadł w śpiączkę, z której wybudził się dopiero po roku. Pasażerowi nie stało się dosłownie nic. Milicjanci, oglądając zmienionego w blaszana harmonijkę poloneza, nie mogli uwierzyć, że Bereza też w nim jechał.

Późny obiad zjadł w barze na placu targowym. Barszcz ukraiński i ruskie pierogi smakowały jak ambrozja. Sytość uzmysłowiła Henrykowi, jak bardzo potrzebował zrzucić z barków ciężar codzienności.

Dał się uwieść euforii. Pewności, że właśnie się odradza.

Resztę dnia spędził na włóczeniu się tam, gdzie oczy poniosą.

Wraz z nadciągającym wieczorem w jego zadowolenie wkrađło się lekkie napięcie, wywołane raczej podekscytowaniem niż obawą. Wszak prawdziwym egzaminem, który pokaże, czy nie porwał się z motyką na słońce, będzie przetrwanie nocy.

Posłuszny impulsowi, skręcił w drogę wysypaną tłuczniem. Ponad nią górowały potężne dęby zasłaniające poświatę księżyca. Marsz w ciemnościach, zwłaszcza w nieznanym terenie, to proszenie się o skręconą albo – co gorsza – złamaną nogę, więc kwestia noclegu stawała się nagląca.

Wreszcie, gdy niemal stracił nadzieję na znalezienie sensownego lokum, dotarł do płotu ze sztachet, w większości wypaczonych i porośniętych mchem, trzymających się na słowo honoru. Nieco dalej trafił na parę takich, którym honoru zabrakło. Odpadły, ukazując wygodne przejście.

Za płotem rozciągał się sad owocowy. Kiedy minął mizerną jabłoń, usłyszał ciche popiskiwanie. Przystanął. Odgłos się nie powtórzył, co przyjął z ulgą. Choć był roslym mężczyzną, posiadał wstydlivy sekret: od dziecka bał się szczurów.

Uspokojony, okrążył stertę drewna, przeszedł pod ramionami orzecha i skierował się w stronę stodoły. Jakies pięćdziesiąt metrów za nią znajdował się szary klocek z betonu, którego styl architektoniczny najlepiej oddawał przymiotnik „bezbarny”. Ślepe okna z zaciekami nasuwały skojarzenie, że dom płacze nad swym losem.

W środku nie paliło się żadne światło. Albo mieszkańcy kładli się spać z kurami, albo gdzieś wyjechali.

Gra gitara, pomyślał Bereza.

Wrota do stodoły pozostawały zapraszająco uchylone. Nic dziwnego, wszak pomimo pory żniw, stała prawie pusta. Ot, kilka snopków i rdzewiejące maszyny rolnicze. Ślepy zorientowałby się, że to niesprawne starocie, nadające się co najwyżej do muzeum techniki.

W kącie betonowej podłogi rencista rozłożył warstwę słomy, nie bez trudu wcisnął się w śpiwór, i przyciągnął do siebie plecak. Uśmiechając się lekko, przysłuchiwał się pohukiwaniu sowy.

Oddychał równomiernie, łagodnie wślizgując się w sen. Śniło mu się ognisko, które urządził z kolegami. Ognisko, od pozostałych różniące się obecnością dziewczyny z sąsiedztwa.

Dzięki niej Henryk przekonał się, jak smakuje pocałunek.

Dym, zawiewany przez letni wietrzyk, niósł ze sobą coraz silniejszą woń benzyny. Benzyny? Skąd tu...

Otworzył oczy.

Ognisty potwór ryczał, liżąc ściany setką języków.

– Ja pierdolę – zaklął niemal bezgłośnie Henryk.

Podpierając się ramionami, próbował usiąść. Nic z tego. Zasypiając, zbyt szczelnie opatulił się śpiworem. Od smrodu spalenizny drapało go w gardle. Podniósł rękę, by zasłonić twarz. Bezskutecznie.

Po omacku odnalazł suwak zamka błyskawicznego i szarpnął w dół. Za mocno. Metalowy uchwyt został mu w palcach. Co gorsza, któraś z iskier dosięgnęła śpiwora, bo ten też zaczął się palić.

– Ratunku! – krzyknął, lecz z jego gardła wydobył się jedynie przerażony szept. – Czy ktoś mnie słyszy?!

Zero odpowiedzi. Wił się w panice, usiłując wydostać się z płonącej pułapki. Wolno, zbyt wolno. Syk płomieni i napierające zewsząd obręcze gęstego, smolistego dymu sprawiały, że krztusił się i kaszłał.

Berie brakowało tchu, a pozbawiony tlenu mózg łaskawie przeniósł go do kina, w którym przed dekadami oglądał *Przygody Tomka Sawyera*. Podczas sceny z szalonym Indianinem, starającym się dopaść chłopców z filmu, rozemocjonowany Henio poderwał się z fotela i wrzasnął, ile sił w płucach: szybciej!

Ani wtedy, ani teraz nikt nie pośpieszył z pomocą.